

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow."	Nr. 9.	Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową
rocznie . . . . 6 złr. — ct.	8. Grudnia 1867.	rocznie . . . . 7 złr. — ct.
półrocznie . . . . 3 „ — „		półrocznie . . . . 3 „ 50 „
ćwierćrocznie . . . . 1 „ 50 „		ćwierćrocznie . . . . 1 „ 80 „
Zeszyt miesięczny . . . . — „ 60 „		W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz. 1 tal. 15 sgr.
Pojedynczy numer . . . . — „ 20 „		We Francji ćwierćrocznie . . . 6 franków.

Ks. Adam Sapieha.

Żywot ks. Adama Sapiehy prawie cały jest żywotem męża politycznego. Wystąpił on wprawdzie dopiero w ostatnich kilku latach na widownię, jednakże już w młodym bardzo wieku objawiały się u niego zapędy, często dosyć namiętne do publicznego działania, którym obecnie zawdzięcza po części swoje publiczne stanowisko. — Po części mówimy, bo wiele niezawodnie przyczyniła się powaga jaką ojciec jego wyjednał w Galicji dla domu Sapiehów między ziemiaństwem.



Przypominamy sobie młodego księcia, jako ucznia szkół publicznych we Lwowie, do których przez krótki czas uczęszczał, biorącego żywy udział w sporach między uczniami gimnazjum, a otworzonej właśnie w r. 1845 akademji technicznej. Rzecz to dosyć powszednia i nikt się nie zwykł nad uczniem plebéjuszem zastanawiać, jeżeli sprawę swojej szkoły uważa jakoby sprawę publiczną i poczuwa się do solidarności z kolegami swojemi. Ze strony młodego księcia jednak uważano tę solidarność i to niewyróżnianie się od swoich kolegów za oznakę rokującą już w nim męża publicznego i zwróciło to na niego uwagę ludzi interesujących się sprawami narodowemi.

Być może, iż właśnie to wczesne zwracanie na siebie uwagi i wcześnie objawiona skłonność do brania udziału w sprawach pospolitych, choćby tylko szkoły, spowodowały przezornego ojca do usunięcia go z widowni. Lata obfite w katastrofy: 1846 i 1848, nie widziały młodzieńca na polu czynności politycznej, chociaż widywaliśmy rówienników jego na tem polu (wspominamy tu tylko młodego Aleksandra Fredrę, znanego z kampanji węgierskiej). Ten perjod, poniewolnej zapewne wstrzemięźliwości od życia publicznego, wynagrodził młody Sapieha później dzielnem uczestniczeniem w rozwoju spraw krajowych.

Pierwsze pole, jakie mu się nastręczyło i jakie mu się mogło nastręczyć do publicznego działania, było w lwowskiem Towarzystwie gospodarskiem. Ciasne to było pole. Toż książę krępowany w tej ciasnocie, przyłożył usilnych starań do rozszerzenia zakresu Towarzystwa gospodarskiego. Uczuwano od dawna potrzebę rozgałęzienia tego Towarzystwa na filje. Poczyniono ku temu kroki u rządu. Ale jak wszelkie dążenie krajowców do najniewinniejszego wpływu na sprawy krajowe, tak i sprawa filji napotkała nieprzebyte zapory w sferach rządowych. Spoczywała ona długi czas w letargu biurokratycznym.

Książę niecierpliwiący się do samoistnego działania i party ambicją do kierowania choćby najmniejszą gałęzią sprawy publicznej, poruszył myśl zastąpienia filji instytucją korespondentów Towarzystwa gospodarskiego. Urok imienia, który ma u nas jeszcze zawsze wielkie znaczenie, a przytem i działalność umysłu księcia, przełamały niedołęztwo tak łatwo nas owładające w życiu publicznem.

Instytucja korespondentów zaczęła wchodzić w życie; ale biurokracja bachowska upatrzyła już w tych niewinnych zabiegach zbrodnię i zniweczyła instytucję w samym zarodzie. Zmiana stosun-

ków politycznych w Austrji, a po części może i wzgląd na księcia Leona, którego powagę rząd zawsze szanował, uchroniła syna od monstrualnego procesu politycznego, który byłby niezawodnie z tego wynikł w innym czasie i w innych okolicznościach. Jakkolwiek rzecz upadła, było zawsze samo usiłowanie czynem znamionującym popęd młodego Sapiehy do pobudzenia życia publicznego w kraju.

Ambicja (nigdy niegrzeszna dopóki nie wpada na błędne i samolubne tory) i stosunki powoływały go koniecznie do sterowania w sprawach publicznych. Widząc się sparaliżowanym na jednem polu, otworzył sobie drugie, a w ówczesnem położeniu prawie jedyne, jakie mu jeszcze pozostowało: d z i e n n i k a r s t w o.

Jedyny, istniejący wówczas we Lwowie dziennik polityczny „Przegląd powszechny,“ pomimo i może właśnie dla swojej wziętości, nie nastręczał księciu sposobności do kierownictwa. Znający skład owoczesnego kierownictwa tego pisma nie mogą sądzić, iżby się ten dziennik nie był dał ująć przez księcia. Wszakże niegdejsi kierownicy „Przeglądu,“ stoją dziś pod sztandarami zupełnie przeciwnemi a nawet wrogiemi temu, jakim się wtedy „Przegląd“ chełpił. Ale „Przegląd“ zawdzięczał wziętość swoją bardziej sprytnemu schlebianiu panującym prądom opinji, niż pewnej wybitnej polityce. Była tam zręczność ale nie było zdolności politycznej. Dał więc książę pochop do założenia innego dziennika. Powstał „Głos.“ Wybór kierownictwa „Głosu“ nie był szczęśliwy. Z. K a c z k o w s k i e m u nie można wtedy nic więcej zarzucić, jak tylko, że niebył politykiem. Postawienie na czele firmy p. L u d w i k a S k r z y ń s k i e g o i Z. K a c z k o w s k i e g o podało przeciwnikom „Głosu“ broń w rękę. Okrzyczano go dziennikiem wstecznym, arystokratycznym i t. p. Tymczasem w sam skład redakcji wchodziły żywioły sprzeczne w zapatrywaniach z kierownikami; „Głos“ był jak ta łódź, której wioślarze w innym kierunku trącają fale, niż jej sternik chce nadać. Z. Kaczkowski napisał później, że chciał u t w o r z y ć z a c h o w a w c z e s t r o n n i c t w o zapomocą „Głosu.“ Słusznie nazwał to A. G i l l e r: marzeniem, chociaż nie tłómaczy się z powodów swego sądu. Dziś rzecz widoczniejsza niż kiedy: dlaczego to było marzeniem. Bo nawet ci co wywieszali wtedy sztandar ruchu i czerwony (jak go nazywano) byli w głębi serca równie zachowawczymi a może i bardziej niż p. Kaczkowski. W istocie rzeczy nie było w naszym kraju innego stronnictwa prócz zachowawczego. Nie trzeba było tworzyć tego co istniało i prawie jedynie istniało w kraju. Stronnictwo postępowe było fikcją; istniały tylko pojedyncze nieliczne atomy takowego, a tych nie było między przeciwnikami „Głosu.“ Wszakże dzisiaj zaledwie mamy zarodek postępowego stronnictwa, a tego przeciwnikami są — ówcześni przeciwnicy „Głosu.“

Udział księcia Adama w założeniu „Głosu“ i jego wytrwanie przy nim aż do końca, pomimo, że go inni założyciele odstąpili, a to właśnie dla tego, że nie odpowiadał ich z a c h o w a w c z y m zamysłom i popierał gorąco ruch w Królestwie, cechuje księcia jako jednego z tych ludzi, któremu sprawa narodowa jest droższą nad sztandar polityczny, który dla hasła zbawienia ojczyzny pójdzie z każdem stronnictwem.

Byłoby nam bardzo przykro, gdybyśmy się w tym sądzie mylili, jednak dotychczas nie mamy powodu do tej obawy.

W czasach ostatniego powstania zaszły wprawdzie okoliczności, które pod pewnym względem podają w wątpliwość powyższe zdanie. Mamy tu na myśli udział ks. Adama w utworzeniu dyktatury Langiewicza i zarzucany mu opór przeciwko rządowi narodowemu. Nie chcemy jednak tego zachowania się przypisywać jakowymś osobistym celom ks. Adama. Nie wypada nam bowiem zamilczeć, że komitet, zwany b i a ł y m, który stawał w drodze centralizacji zawsze potrzebnej w działaniach tego rodzaju, jakiemi były te w r. 1863, indentyfikowano z osobą ks. Sapiehy tak dalece, że nazwa komitetu białego a Sapieżyńskiego, znaczyła w opinji jedno i to samo. Przypuszczamy wszakże, że na działanie księcia miało wtedy wielki wpływ otoczenie jego, a między innemi członkowie ówcześni komitetu, którzy dziś zasiadają w zupełnie innej Radzie i z któremi on dziś nie idzie razem. Mamy też wszelką otuchę, że on i nadal nie pójdzie z temi, którzy się zaparli swojej przeszłości.

Dobrze poinformowany Agaton Giller stwierdza fakt, który nam się dał uczuć dosyć boleśnie, że komitet lwowski stał w opozycji z rządem narodowym, oraz że po uwięzieniu ks. Adama Sapiehy, komitet ten został zreorganizowanym. Ale już ten sam fakt, że reorganizacja nie wypadła bynajmniej na korzyć skoncentrowania władzy powstańczej w ręku rządu narodowego, że członkowie „n o w o u t w o r z o n e g o w y d z i a ł u r z ą d u n a r o d o w e g o, b y l i t e j s a m e j b a r w y, j a k i e j b y l i d a w n i c z ł o n k o w i e k o m i t e t u b i a ł e g o“ (jak podaje Giller) jest dowodem, że paraliżowanie władzy centralnej narodowej nie było jedynie dziełem ks. Adama.

Mamy owszem skazówki po temu, że po uwięzieniu ks. Adama, podniosła reakcja głowę w samem łonie organizacji tajnej w Galicji i to ze stron, które po dziśdzień stanowią niejako Wandeję naszego kraju, są najzacofańszą tegoż częścią. Komitet zreorganizowany, jakkolwiek biały, wydał się niektórym za czerwonym. W zagadkowym związku z intrygami tej koterji przeciw komitetowi zreformowanemu, czyli w y d z i a ł o w i, stało uwięzienie kilku bardzo ważnych członków tegoż. Zdaje się więc, że kierownictwo ks. Adama, jeżeli z jednej strony tamowało jednolitość działań rządu narodowego w naszej krainie, to z drugiej strony trzymało na uwięzi dążności reakcyjne, zawsze bardzo silne w naszym kraju, jak o tem świadczy jeszcze za czasów przygotowujących rewolucję z r. 1830 M. M o c h n a c k i, kiedy galicyjska szlachta warowała sobie w rewolucji osobną Izbę parów. Jednak ks. Adam nie był tyle pod wpływem pretendentów do parostwa, ile raczej do jakichś może tek ministerjalnych, albo podobnego dygnitarstwa, a przynajmniej przewodniczenia w kraju, które to pretensje uosobiły się obecnie w naszej delegacji w Radzie państwa w sposób najsromotniejszy, i zostały niemniej sromotnie zawiedzione.

Hr. Mensdorff, który już za czasów, kiedy ks. Adam interesował się „Głosem,“ nie mógł pojąć, „j a k m o ż e c z ł o w i e k, p i e c z ę t u j ą c y s i ę m i t r ą, p o s p o l i t o w a ć z d z i e n n i k a r z a m i,“ nie wiedział innego środka na „awanturowanie się młodego członka tej *crême de l'aristocratie*“ z rewolucyjnym proletarjatem i zaszarganą szlachtą polską (nie należącą wedle jego zdania, zaczerpniętego zapewne z historji naturalnej W i n d i s z g r a e t z a, *) do gatunku człowieczego, jak uwięzienie go pospołu z tą hołotą, między którą się wmięszał.

Ale ks. Adam zdaje się być dobrym gimnastykiem, a złoto nadaje członkom gibkości. Jeżeli więc mógł Jowisz pomimo straży i krat wpaść w postaci złotego deszczu do księżniczki Danay, dla czegoż nie miałoby złoto otworzyć ks. Adamowi okna sądowej registratury. Wymknął on się straży więziennej, jak się wymyka złoty pieniądz z ręki nieoględnego właściciela. Za jego ucieczkę zemszczono się na kraju stanem oblężenia i sądami wojskowemi, które przecież nie zdołały później zapobiedz ucieczce Wędrychowskiego. Było to może tylko uprzedzenie w powszechnem mniemaniu, że ks. Adam nie mógł uciec inaczej, jak za pomocą złota. Że można było uciec bez tej pomocy, na to mieliśmy w owym czasie rozliczne dowody.

W emigracji nie dozwolił ks. Adamowi jego umysł gorący zostać bezczynnym. Czynność ks. Adama stanowić może ważną część dziejów emigracji polskiej. Zdaje nam się, że nie jest ani czas ani miejsce potemu, aby się nad nią szczegółowo rozwodzić. Nadmieniamy tylko okoliczność charakteryzującą ks. Adama, że nie było stronnictwa w emigracji, a raczej nie było głów stronnictw, z któremiby on nie wchodził w mniej lub więcej ściśle stosunki, a to zacząwszy od najskrajniejszych z jednej strony aż do najskrajniejszych z drugiej strony.

Jakiż więc jest charakter polityczny ks. Adama?

Niechcemy, a nawet nie możemy o tem orzekać. Pozostawiamy rozwiązanie tego zagadnienia przyszłości, którą, to należy przyznać ks. Adamowi, ma on przed sobą, podczas gdy dla innych, co kiedyś z nim razem szli, jest przyszłość w życiu publicznem zamkniętą.

Widzieliśmy go w sejmie. Zawsze mowca gorący, często unoszący się i porywający innych za sobą, tak dalece, że ile pomnimy, stoicznie spokojny ojciec jego, musiał używać powagi swej urzędowej aby miarkować jego zapalczywość. Niezrażał on wszakże nigdy opinji publicznej, owszem zwykle zyskiwał przez swój ogień na popularności.

*) Znane jest zdanie Windischgraetza: że c z ł o w i e k z a c z y n a s i ę d o p i e r o o d b a r o n a.

Książę Adam był zawsze obrońcą narodowości polskiej i zawsze obrońcą samorządu, a obok tego mamy bardzo słuszne powody do sądzenia, że jest jednym z najgorętszych zwolenników swobodnej Rusi.

Po swoim powrocie z emigracji, uzyskawszy amnestję z pewnemi klauzulami nie brał ks. Adam udziału w życiu publicznem, bo nie mógł go brać. W ostatnich czasach dopiero został obrany posłem i marszałkiem powiatowym. Niezatwierdzenie go w tej godności przez rząd wskazuje niejako przyszły kierunek ks. Adamowi, pchnięty on jest ku opozycji, a stanowisko, jakie zajmuje, powołuje go na jednego z przewodników tejże. Mamy nadzieję, że ks. Adam da początek programowi politycznemu wybitnemu, postępowemu i zgodnemu z poczuciem narodowem, które dotychczas nie znalazło reprezentanta politycznego. Ks. Adam posiada już teraz wszelkie warunki skupienia około siebie stronnictwa w sejmie, którego zorganizowaniu się nie sprzyjały dotychczas okoliczności. Przyszłość okaże: czy będzie mógł, czy zechce odpowiedzieć tym widokom? *K. Widmann.*

Urywek z czyjegoś pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

(Ciąg dalszy).

III.

Minęła jesień, nastała zima; minęła zima, nastała wiosna; w moim stosunku do Handzi nie zaszła żadna zmiana. Byłem cierpliwy, bo cierpliwość czerpałem w dwóch źródłach: w czystości zamiarów i w przeświadczeniu o własnem doświadczeniu. Powiedziałem sobie, że wezmę sobie ją za żonę i z góry miałem dla niej ten szacunek, jaki ma mąż dla żony, to jest, nie nalegałem na nią — szanowałem nieznane mi powody, które jej nakazywały trzymać mnie w oddaleniu. Przeświadczenie o doświadczeniu, nabytem w sferach wyższego towarzystwa, mówiło mi, że przeszkody owe nie wytrzymają próby czasu. Jakieżbo mogły one być? Rozumowałem na zimno — tak przynajmniej wydawało się mi. Zestawiałem i porównywałem wszystkie dane, jakie tylko zgromadzić mogłem, i w rezultacie wypadało: że mnie ona musi w końcu pokochać.

A o to mi tylko chodziło, to było główną rzeczą, w obec której stawało pozwolenie mojej matki — jedyna przeszkoda serjo. Lecz, czyż nie rozporządzałem sobą sam? Czyniłem wszelkie możliwe przypuszczenia; przedstawiłem sobie matczyną klątwę, poprzedzoną długim szeregiem perswazyi, przeplatanych łzami i — nie ulękłem się. Odsunąwszy tę przeszkodę, żadnych zresztą innych ani w sobie, ani około siebie, ani w niej, ani około niej nie widziałem i nie przewidywałem.

Gdybym snuł romans, byłbym przeszkód pożądał. Wytknąwszy sobie jednakże wcale nieromansowy cel, chodziło mi głównie o to, aby żadnych nie było; a żadnych nie widząc, śmiało sobie mówiłem:

— Ona mnie pokochać musi...

Wziąłem to za punkt honoru, wześrodkowaniu wszystkich moich pragnień, za zogniskowanie całej mojej ambicji. Na nic nie uważałem, o niczem słyszeć ani słuchać nie chciałem, pomimo że było już dużo do słuchania.

Była to bowiem wiosna roku 1863.

Coś się tam na świecie działo. Wiedziałem o tem piąte przez dziesiąte z opowiadań mojej matki, która pilnie czytywała gazety i mocno się irytowała. Lecz mnie gazety nie obchodziły. Opowiadań matki o Warszawie, o powstaniu, o nieszczęściach słuchałem półuchem, robiąc nad niemi uwagi, które sensu nie miały. Cała bowiem uwaga moja skupiła się w punkcie honoru.

Zbierając wspomnienia dziś, jasno mi w oczach staje pewien niepokój, jaki w owym czasie objawiali mieszkańcy dworku w Jarach. Zwłaszcza pani Dubyninie wyrywały się niekiedy z ust wyrazy znaczące, nabrzmiałe zakłopotaniem. Pierś jej podnosiła się nieraz głębokiem westchnieniem. Kiedym ją raz o powód westchnienia zapytał, odrzekła:

— Żal mi, panie, że nie mam w tych czasach dorosłego syna..

Czemu?... — zapytałem.

Nie dała mi odpowiedzi, ale ją dziwnie moje zapytanie zmieszało. Zamigotała oczami i oblała się rumieńcem, spoglądając z wyrazem bojaźliwości to na męża, to na córkę. Spojrzałem na pana Dubynę: wzrok jego był surowy i gniewny. Spojrzałem na Handzię: wzrok jej błyszczał. Pan Dubyna po chwili milczenia zabrał głos:

Burza, słyszę, mociumpanie, na świecie; ale w Jarach cicho, zwyczajnie jak w lesie... Najlepiej, kiedy człowiek pilnuje własnego nosa, a nie jakiegoś tam prosa, którego nie posiał i zbierać nie będzie... Dał mi Pan Bóg mociumpanie, dzieci, o których myśleć muszę... Nie mam czasu głowę czem innem zaprzątać...

Wówczas nie rozumiałem znaczenia tych wyrazów. Pan Dubyna tak często mówił o tem, że na chleb pracuje, że o dzieciach myśli, iż to jego odezwanie się zaliczyłem do rodzaju zwykłych gawęd, powtarzanych przez ludzi na dorobku, mających zwyczaj z pracą i dziećmi popisywać się przy każdej sposobności. Zastanowił mnie tylko troche dziwny wyraz wzroku panny Anny. Był w tym wyrazie wyrzut, był gniew, zapał: było pełno jakichś zapytań i pełno jakichś odpowiedzi, były zagadnienia z rozwiązaniami i bez rozwiązań, było, jednem słowem, wielkie nic, z którego daloby się stworzyć świat.

Że ów świat, ukrywający się za szklistą powłoką oka dziewczyny mnie interesował — o tem nie mam potrzeby wspominać. Wspominam jednakże, bo — pamiętam — wpadłem był w pewien rodza rozmarzenia.

Zdarzało się mi to często w Jarach, nie zawsze wszelako w jednakowym stopniu natężenia. Tym jednakże razem natężenie było mocniejsze jak zwykle — może najmocniejsze. Człowiek posiada w swojej istocie coś, co tajemniczym głosem woła na niego w ważniejszych życia momentach, jak wódz przed pułkiem:

— Baczność!...

Był to taki moment. Wydało mi się duszno w dworku, duszno w Jarach, duszno w lesie; zapragnąłem przestworu do odetchnięcia i, pomimo spóźnionej pory dnia, kazałem zaprzęgać.

— Pan dobrodziej, mociumpanie, chcesz dziś jeszcze jechać... — rzekł pół od niechcenia p. Dubyna.

— Muszę... nie dałem dyspozycji ekonomowi...

Była to wymówka, o tyle prawdziwą, że rzeczywiście nie dałem ekonomowi dyspozycji, o tyle nieprawdziwa, że ekonom bez mojej dyspozycji obchodził się i obejść się mógł wybornie. Potrzebowałem wszakże jakiejkolwiek wymówki. Ta była na podorędziu, więc ją podchwyciłem.

— Szkoda... — odrzekł stary, patrząc mi w oczy wzrokiem wyrazistym. — Szkoda, mociumpanie... Chciałem się z panem po ojcowsku rozmówić...

Wyrazy „po ojcowsku" wymówił z przyciskiem, zanadto mocnym, ażeby mnie nie uderzyły.

— Ale — ciągnął dalej — co się przewlecze, to nie uciecze... Ja się z panem dobrodziejem chcę i potrzebuję rozmówić... Pan, mocium panie, na rozmowę przyjedziesz, tego się spodziewam... A jeżeliby spodziewanie moje zawiedzione zostało, to... zobaczymy.

W ostatnim wyrazie zadzwonił akcent niezłomnego jakiegoś postanowienia, od którego mi ciarki za skórę poszły. Domyśliłem się treści rozmowy i tembardziej zapragnąłem wyjechać. Potrzebowałem się namyślić. Nie mogąc sobie powiedzieć, że mnie Handzia pokochała, potrzebowałem dla siebie samego wyrozumować usprawiedliwienie i przekonać siebie samego, iż dostanę żonę nie przemocą. Za żadne świata skarby byłbym się nie zgodził tej, którą ukochałem, zadawać gwałt, a chociaż zdawało się mi, że miałem niejakie powody myśleć, że zaślubiny ze mną nie będą dla niej gwałtem, jednakże pragnąłem o tem z jej własnych ust się dowiedzieć.

Jakimże było moje uniesienie radości, gdy przez ciemną sień przechodząc, usłyszałem szelest sukni i uczułem na mojem ręku dotknięcie rączki panny Anny. Przesunęła się i znikła jak cień, jak duch. Dotknęła się mojej ręki i z jej dłoni na moją przeniósł się jakiś maluśki kwadratowy przedmiot. Pan Dubyna wyprowadzał mnie i coś mówił — podobno o zbyt spóźnionej porze dnia i o tem, że lepiej by było przenocować w Jarach, a nazajutrz o świcie puścić się w podróż przez las. Słyszałem brzmienie wyrazów, lecz nie rozumia-

lem ich. Ściskałem garść, usiłując rozpoznać naturę datku panny Anny i rozpoznałem, że to był złożony w kilkoro papier.

— Papier?!... Więc na tym papierze może jest jakie pisanie?... Więc?...

Zapytania i przypuszczania z błyskawiczną szybkością mknęły mi w myśli. Wybiegłem z sieni; bez zwykłego pożegnania pana Dubyny wskoczyłem do bryczki i krzyknąłem na furmana:

— Ruszaj!...

— Na tym papierze musi być jakieś pisanie...

Takim był mój domysł, którego sprawdzić nie byłem w stanie natychmiast, z powodu ciemności leśnej. Nie wątpiłem jednakże, że jest to początek końca i, w blizkiej przyszłości, zapachła mi... cukrowa wieczerza.

— Przecież... — przystałem — lody pękły... Co też to jednakże za dziwnem kobieta jest stworzeniem... Powiedzieć wyrazem?... — nie; powiedzieć spojrzeniem? — nie; powiedzieć uśmiechem? — nie... Tak długo wpatrywałem się w nią, niby w obraz cudowny!... Milczała i trzymała mnie w oddaleniu i w końcu napisała na siebie... cyrograf... W każdej; jak się z tego pokazuje, kobiecie, jest wrodzona inklinacja do romansu... Handzia jest niezawodnie wyższą od tłumów niewiast pospolitych, wyższą uczuciem i zdrowym rozsądkiem, nie skrzywionemi temi naleciałościami, na które chorują nasze pilne czytelniczki powieściowych utworów, a jednakże i ona nie mogła się obejść bez *bilet doux*...

Tak myślałem, ściskałem w garści mniemany ów cyrograf, wlokąc się powoli przez las. Powolna jazda w wysokim stopniu mnie niecierpliwiła. Co chwila rzucałem Hryhorowi rozkaz:

— Pospieszaj!...

Co chwila Hryhor hukał na konie, lecz pospieszyć nie mógł. Im bardziej zagłębialiśmy się w las, tem ciemność stawała się gęstszą i jazda wymagała wielkiej ostrożności, ażeby najprzód nie połamać kół i osi, następnie nie zabłądzić na plączących się w różnych kierunkach drogach. Jechaliśmy tedy noga za nogą, pomimo, że niecierpliwość podnosiła mnie z siedzenia i kazała pragnąć skrzydeł. A tu, jak na złość, ani ja, ani Hryhor, nie należeliśmy do rodzaju ludzi, lubujących się w otaczaniu kłębami tytoniowego dymu, więc nie mieliśmy w kieszeni ani krzemieni ani zapałek. Trzeba było przeto chcąc nie chcąc z potrzeby zrobić cnotę i uzbroić się w cierpliwość.

Ta jazda przez las będzie mi do śmierci pamiętną. Cztery godziny wydały mi się czterma wiekami, w przeciągu których doznawałem tantalowych mąk. Czułem, jak mnie trawił wewnętrzny ogień.

— Co też ona napisała?...

Droga przechodziła przez kilka polanek. Na każdej zatrzymałem się i przy blasku gwiazd, usiłowałem odcyfrować pisanie Handzi. — O! jak-żem klął gwiazdy, za bladość ich promieni. Nieużyteczność tych światełek, które poetom natchnień udzielają, w wściekłość mnie wprawiała.

Nakoniec wyjechaliśmy z lasu pomiędzy rzadkie drzewa.

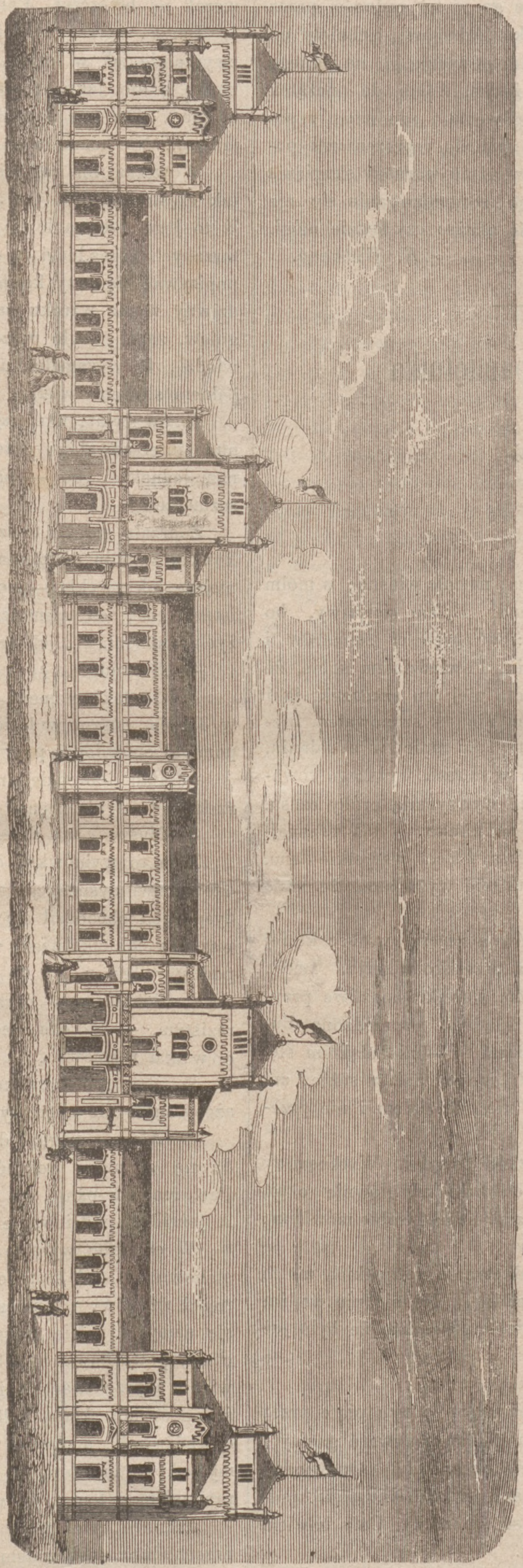
— Ruszaj! — krzyknąłem na Hryhora.

— Wio!... — krzyknął Hryhor.

Najtyczanka potoczyła się raźnie, uniesiona tęgim kłusem, jakim ruszyły konie. Lecz kłus dla mnie nie wystarczał.

— Ruszaj!... — krzyknąłem powtórnie.

Powtórne „wio!“ ponagliło konie do spotęgowanego kłusa. (C. d. n.)



Dworzec kolei żelaznej Karola Ludwika we Lwowie.

Dworzec kolei żelaznej Karola Ludwika we Lwowie.

Koleje żelazne o tyle tylko przynoszą pożytek dla kraju i jego mieszkańców o ile są prowadzone przez okolice żyzne i zaludnione, zarówno każdy dworzec tyle jest wygodny dla mieszkańców, o ile jest w pobliżu miasta lub w samem mieście położony. O dworcach lwowskich tego powiedzieć się nie da.

Miejsce wybrane na dworzec pod każdym względem było nieszczęśliwe; położenie bagniste, a zatem samo ufundowanie gruntu ogromne sumy pochłonęło; zbytnia zaś odległość od miasta czyni je niedogodnemi tak dla podróżnych jako i dla mieszkańców.

Snać usiłowania gminy miejskiej nie były dość energiczne, aby tak ważną dla miasta sprawę ze skutkiem przeprowadzić i dopiero gdy cały ogół przeciw temu powstawał, wyjednała gmina dla drugiego dworca lepsze miejsce i dowiodła, że silne przedsięwzięcie można przeprowadzić, jakoż mając na względzie wygodę publiczności, postarała się o to, iż dworzec kolei brodzkiej stanie na Żółkiewskiem po prawej stronie gościńca, a zatem w pobliżu miasta.

Co się tyczy budowy dworca, o którym wspominamy, to przyznać należy, że jest on tak z powierzchowności swej jako też i pod względem wewnętrznego urządzenia jeden z najwspanialszych w całej monarchji. Gmach ten obejmuje sale dla podróżnych trzech kategorji, tudzież restaurację, kawiarnię, biura dla urzędników administracyjnych i manipulacyjnych, kasę, ekspedycję pakunków, urzędy rogatkowe i policyjne. Po obu stronach wznoszą się dwa pawilony, przeznaczone częścią na pomieszkania urzędników, częścią na biura. Gdy w czasie budowy pawilony te wyprowadzone były do wysokości dachu, wtedy zapadły się dwie ściany wraz ze sklepieniem na lewem skrzydle, inne zaś ściany popękały. — Dowód, że miejsce, w którem budynki stanęły nie zupełnie odpowiada celowi.

Tylne i boczne budynki na dworcu obejmują magazyny, składy, ekspedycję towarów, tudzież obszerne koszary dla robotników.

Dwa mniejsze budynki po bokach służą na remizy, mieszczące po 14 wagonów osobowych, tudzież remizy na 15 parowców w gotowym stanie do pełnienia służby; prócz tego są składy, magazyny, warsztaty, szopy dla wojska, koni, dział i innych przyborów wojskowych.

Dworzec ten ma długość 980 sążni, z tych 600 w kierunku prostym a 380 w łukach o 200⁰ promienia.

Dworzec na tak wielkie rozmiary był budowany w nadziei, że będzie koncentrował w sobie wszystkie galicyjskie koleje; lecz gdy kolej czerniowiecka nie mogła wejść w porozumienie z koleją krakowską, wybudowała osobny dla siebie dworzec; zaś dla kolei brodzkiej domagało się miasto, i wyjednało osobny dworzec, którego budowa rozpocznie się na wiosnę, a który wraz z koleją ukończony zostanie z końcem października 1868 roku.

Ten, który panu młodemu dopomaga, bierze tytuł starosty Brańskiego. Ów urząd tłómaczy własny pana młodego zamysł, jako to: iż to dla niego ów swat ma poświęcać usługi, aby w zamężcie dostał kobietę — przeciwnie swat panny młodej nosi tytuł star. Dańskiego, to jest, że podjął się usługi dla panny młodej, mającej się oddać za mąż. Parobek gdy sobie dziewkę upatrzy, udaje się wraz z ojcem do swata czyli starosty Brańskiego, który natychmiast wraz z niemi do domu rodziców dla wyjednania deklaracji schodzi, przedstawia kon-



Zwyczaje i obyczaje ludu na Rusi.

Swaty i wesela ludu na Rusi.

Swaty i wesela od czasów niepamiętnych są u ludzi taką uroczystością, iż pomimo tysiącznych i śmiesznych zabaw lub igraszek, składają przecież razem wzięte, prawdziwą powagę i potrzebną niejako trudność w tym akcie.

W każdej najprzód wsi, lud prosty ma wybrane osoby, które zazwyczaj swatom, zaręczynom i weselu przewodzą.

kurenta i wraz z ojcem proszą rodziców, ażeby córce swojej pozwolili się wydać.

W czasie tej propozycji, parobkowi nie wolno nic za sobą mówić, dziewka zaś podtenczas dla okazania większej niby skromności, obraca się do pieca, i w nim grzebie, dając jakoby do poznania, że zastępując gospodarstwo matki, nie ma czasu przysłuchiwać się tem oświadczynom. Rodzice za tą pierwszą prośbą nie zwykli nigdy od razu obiecywać swej córki, ale dają tę tylko odpowiedź, że się muszą

sami z sobą naradzić i z córką pomówić, a tą razą oznaczają inny termin, kiedy na nowo do ich domu swat ojciec i parobek powrócić mają. W tym drugim terminie albo dają odpowiedź zezwalającą albo odkładają znów na trzeci termin, co jest złym znakiem dla pana młodego, że mu dziewki oddać nie chcą.

Jeżeli deklaracja jest przyjętą, parobek zaprasza rodziców swej narzeczonej na obiad lub wieczerzę a podejmując ich u siebie wraz z innemi krewnemi i przyjaciółmi — uzyskuje oznaczenie terminu ślubu.

Wigilja ślubu jest zazwyczaj dniem zaręczyn. W tym to dniu zaręczyn rodzice panny młodej u siebie wieczerzę dawać powinni. Najęciem kapeli obie trudnią się strony z osobna — pieką korowaje, t. j. chleby z mąki pszennej, ozdobione różnemi wyrabianiami po wierzchu. W końce podługowate tych korowajów, wkładają dwa jaja, aby potem upieczone, służyły zaślubionym osobom za osobny przydatek. Jest to zaiste znak symboliczny przyszłej prokreacji. Tak samo u Persów jako i u Egipcjan w czasie największych uroczystości, w publicznych procesjach noszono jaja. Służyły one na ofiarę Bachusowi i Ozyrysowi. Damy rzymskie, w białe szaty ubrane, w święto bogini Cerery jaja także w procesji nosiły. Kościół chrześciański cierpi ten zwyczaj z czasów pogańskich pozostały w święta wielkanocne, więc nie można się dziwić ludowi, że jaja jako symbol w wswoje zalepia korowaje. —

Panna młoda w dzień zaręczyn swoich, dobrawszy sobie jednę lub dwie drużki, z rozpuszczonemi włosami musi chodzić od chałupy do chałupy, dzień swego wesela ogłasza i zaprasza na nie imieniem ojca i matki. Pod wieczór zgromadzają się goście w domu panny młodej — w połowie zabawy przykrywają stół obrusem, kładą nań bochen chleba, pan młody wtyka weń kilka grajcarów, matka to wszystko przykrywa chustką i wnet przystępuje parobek, dziewka, rodzice obojga stron, zgoła wszyscy przytomni krewni i goście, składają rękę na rękę po wierzchu rzeczonego chleba, a kapłan wszystkie te ręce związuje stułą i przeczytawszy modlitwę z wezwaniem błogosławieństwa boskiego, oznajmuje wreszcie dokonanie obrządku zaręczyn.

Nazajutrz, t. j. w dzień zaślubin, panna młoda przy pomocy kilku sąsiadek plecie dwie korony, jedną dla siebie, drugą dla oblubieńca w takiej obszerności, aby na opasanie czapki wystarczyła, ten drugi wianek czyli koronę odsyła potem panu młodemu przez trzech parobków na bochenku chleba, w asystencji kapeli, a sama zasiada do ślubnego ubrania.

Pierwszy starosta Dański, zaczyna jej włosy rozczesywać, a dalej czeszą rodzice i każdy przytomny.

Pan młody jak tylko dostrzeże, że mu wianek czyli koronę niosą, więc także zasiada na stołek, a starosta Brański głowę mu uczesuje i włożywszy wianek na czapkę pana młodego, z kapelą do domu panny młodej odprowadza.

Nim wstąpi pan młody w próg, matka z panną młodą zastępują mu we drzwiach — on natenczas bierze swoją przyszłą za rękę, a za drugą ujmują: ojciec, matka i inni krewni i razem wprowadziwszy się do izby, obchodzą trzy razy stół. Po tej ceremonji matka obojgu młodym nakazuje usiąść na ławie, a związawszy szyję obojgu rańtuchem, dozwala pocałować się wspólnie. Po rozwiązaniu rańtucha, daje muzyka znak, aby do cerkwi udali się na ślub.

Za powrotem od ślubu, matka wybiega z ożogiem, mając nakrytą głowę kożuchem, wywróconym włosami do góry, wynosi bochen chleba, traktuje kieliszkiem wódki swego zięcia; której on cokolwiek skosztowawszy, resztę za siebie wylewa, na znak, że potem wiecznie wyrzeka się pijaństwa. Matka zaś obojga młodych obsiewa owsem, co ma znaczyć życzenie obfitości chleba.

Po obiedzie, ku wieczorowi, przenosi się uczta weselna w dom rodziców pana młodego. — A tu, choćby był najbliższy dom, zajeżdża przecież wóz jeden albo dwa, pakują z wszelką ostentacją posag panny młodej, składający się najczęściej z dwóch poduszek, skrzyni z bielizną, z sukniami i wszelkie inne sprzęty domowe, które od rodziców w posagu otrzymała i cała kawalkada weselna odprowadza państwa młodych do ich pomieszkania.

Rycina powyższa przedstawia jeden tylko ustęp z tak długiego ceremoniału zaręczyn, zaślubin i wesela, kiedy państwo młodzi z podarunkami weselnemi przybywają do dworu prosić dziedziców wsi o błogosławieństwo w towarzystwie rodziców pana młodego, drużek i drużbów. *Fr. B.*

O potrzebie i zadaniu krytyki teatralnej.

Wzrost sceny, a przezto samo i rozwój sztuki dramatycznej, zależą od okoliczności, na które za mało może dotąd zwracano uwagi. Scena jest rzeczą publiczną, i jako taka, powinna być wspierana siłami wszystkich dbających o nią; inaczej za ciężko na jedne barki, rozbije się, jak okręt tonący o skały, o oziembłość i nieprzychylność. Wina upadku sceny, gdy jest upadek, cięży zarówno na wszystkich i nikt wtedy nie ma prawa potępić bezwzględnie drugiego a siebie uniewinnić. Zgon sceny jest dziełem wszystkich!

Nie jest to czczą frazeologją, bo każdy, sądzę, uzna, że najlepiej kierowana scena, to jest scena odznaczająca się doborem sztuk, stosownem ich obsadzeniem, zdatnością artystów, upaść musi niewątpliwie jeżeli nie znajdzie w publiczności gorącego i szczerego współudziału. Podobnież scena nie stojąca jeszcze na tej wysokości, dójdzie do niej z łatwością, jeżeli ją ożywi miłość powszechna.

Gdy zważymy jednak, że sympatja ogółu czyniąc dyrekcję teatralną opieszałą i mniej dbałą o swe dla sztuki obowiązki, może scenie również zaszkodzić jak i obojętność, przyznamy wtedy, że krytyka jest siłą ożywczą sceny, siłą wspierającą rozwój sztuki dramatycznej. Łatwo zdarzyć się bowiem może, że szczęśliwy przedsiębiorca zacznie być mniej troskliwym o dobro sztuki, zacznie mniej zważać na stanowisko, jakie zająć powinna scena powierzona jego kierunkowi. Dla tego to krytyka jest prawdziwą opiekunką sceny; ona nie powinna dopuścić jej upadku; jej obowiązkiem jest czuwać nad nią. Krytyka jest zarazem bodźcem pobudzającym scenę do nowych zwycięztw i siłą trzeźwiącą ją z szału pochodzącego, z za łatwej czasem zdobyczy laurów. Krytyka kształci smak publiczności, już to wskazując przekonywająco i umiejętnie ukryte talenta, już to wytykając błędy.

Ponieważ więc powodzenie sceny zależy po większej części od krytyki, trzeba nadzwyczaj oględnie używać tej siły, aby nadużycie jej nie sprowadziło ogólnej szkody. Krytyka zatem jest rzeczą ważną, rzeczą sumienia i nie może być uważaną jako środek do popierania widoków osobistych; bo często zadawalniając siebie, szkodzi się sprawie publicznej, co się nie zgadza ani z zasadami uczciwości ani z zasadami prawdziwego patrjotyzmu.

O ile umiejętna, bezstronna krytyka jest dźwignią sceny, o tyle poruczona nieudolnej głowie, staje się ona przyczyną jej upadku. Wszakże i nóż jest dobrem, użytecznem narzędziem, a przecież w ręku dziecka lub szaleńca szodliwem tylko być może. Bezzasadnie chwaląca lub ganiąca krytyka nie odpowiada swemu zadaniu. Krytyka jeżeli ma osiągnąć przeznaczony sobie cel, powinna być przedewszystkiem nauczającą. A zatem tylko gruntownie rozumowana krytyka może przynieść prawdziwe owoce, albowiem rozbierając tak sztukę jak i grę artystów i uzasadniając trafnie swoje zdanie, nie wbija się w śmieszną zarozumiałość łatwowiernego, ani też nie napełnia niechęcią i goryczą wahającego, bojaźliwie, błędnie jeszcze stąpającego miłośnika sztuki. Zapewne, że na kształt wyroczni wydać krótko i węzłowato wyrok z wysokości swego sędziowskiego krzesła jest łatwo; na to nie trzeba ani nauki, ani nawet rozsądku. W takim razie łatwiejsze albo trudniejsze trawienie czyni często krytykę ostrą lub pobłażliwą, i dlatego dobrze byłoby, żeby ci krytycy, którzy zwykli w ten sposób krytykować, w braku dobrych głów, mieli przynajmniej dobre żołądki; gdyż niezawodnie złość jest szkodliwszą aniżeli może troche za daleko posunięta dobroć. Na głupocie pozna się mniej więcej każdy, a złość nie jeden może wziąść za rozum. Nie godzi się zatem narażać ludziom na to niebezpieczeństwo.

Nie każdy rodzi się krytykiem, nie dosyć jest znać abecadło, aby krytykować; obszerne studja, głęboku znajomość estetyki i prawideł sztuki są niezbędnemi dla dobrego krytyka. Powtarzam tę starą prawdę dlatego tylko, że słowo „krytyka“ bywa bardzo często fałszywie pojęte. I tak naprzykład w wielu głowach wyrobiła się ta nieszczęsna myśl, że krytyka a nagana to jedno i to samo; mylne to zdanie, ponieważ

dobra krytyka może być i chwalącą, byle była udowodnioną. Często ganić jest tylko chęcią odszczególnienia się. Znałem jednego krytyka, który był do tego stopnia przejęty tą fałszywą zasadą krytyki, że na przekor całej ludzkości opisując słońce, utrzymywał, że ono ani grzeje, ani świeci. Dziwiono się jego rozumowi i wychwalano jego dowcip, bo był dowcipny, co mówiąc nawiasem, nie wydarza się wszystkim krytykom, chociaż każdy krytyk dowcipnym być może.

Nie jest tu także koniecznością; często dowcip służy tylko na pokrycie wielkiej próżni. Wystrzegać się trzeba dowcipu, bo łatwo dajemy się omamić fraszkom, zabawiającym umysł i nie zważamy wtedy dosyć na rzeczy prawdziwej wagi. O dowcip trafny i prawdziwy nie tak to łatwo jak sądzą licznie po świecie rozchodzące się krytyki, i dlatego też zastępuje się on najczęściej żółcią, który to przymiot posiadają nawet zwierzęta. Pytam zatem, czy jest jaka zasługa być autorem podobnych krytyk?

Krytyka tchnąca nieumiejętnością staje się trucizną dla sztuki, szkodliwym jadem, którego powinniśmy się najsilniej wystrzegać, jeżeli dbamy szczerze o wzrost naszej sceny, jeżeli pragniemy rozwoju sztuki dramatycznej w naszym kraju. Krytyka powinna być argumentowaną, silnie udowodnioną, jeżeli miasto szkodzenia ma przynieść korzyść i pożytek. Aby udowodnić, że nie przysądzam zanadto wielkiego znaczenia krytyce, będę starał się wykazać co za zbawienny lub szkodliwy wpływ może ona wywrzeć na scenę.

Nic tak niepsuje artystów, jak to gdy spostrzegą, że ich grę ocenia krytyka niczem nieuzasadniona, jednem słowem nieudolna. Wtedy zdatny artysta wiedząc, że wielka część publiczności, już to z braku własnego sądu, już to z niewiadomości idzie ślepo za krytyką, a znając swoją wartość, zniechęca się i opuszcza, bo największe zamiłowanie dla sztuki nie może stłumić w nim uczuć powstałych z niesprawiedliwości. Przesadzone pochwały tak dobrze jak i niezasłużone nagany napawają jego duszę szyderstwem i lekceważeniem, wlewają w nią straszny zaród goryczy; jedno i drugie zabija artystę.

Złego zaś aktora podobna krytyka nie poprawi, bo go nie przekona, co jest koniecznie potrzebnem, jeżeli się chce podciąć skrzydła zarozumiałości, zwykłej towarzyszce miernych talentów. Niczego ona go nie nauczy, bo jakże ma nauczyć ten, któren zupełnie tak wygląda, jak gdyby sam nic nie umiał. Cóż pozostanie więc biednemu artyście? Oto, w pokorze ducha wierzyć w umiejętność szanownego krytyka tak, jak się w cud wierzy. Krytyk zawyrokował, więc trzeba poddać się temu wyrokowi. Wiara cię zbawi, mówi pismo święte; bardzo pięknie, nie przeczę, ale nim zbawienie nastąpi, potrzeba żyć, by na nie zasłużyć, a tu kierownik opinji publicznej odmawia wierzącemu chleba, czyniąc go niezdolnym jednym zamachem swego pióra. Nie chcę przez to powiedzieć, że powinno się wspierać mierności, ale chcę tylko dać do zrozumienia, że sądzić przekonywająco, jest obowiązkiem ludzi światłych. Tym sposobem tylko, a nie innym można kształcić i nauczać. (Dok. nast.)

Pogadanki tygodniowe.

I cóż napisać o tobie Lwowie! ty odwieczny grodzie Lwa halickiego i... Dzieduszyckich!.. Proszę niebrać takiego gwałtownego przejścia od Lwa halickiego do Dzieduszyckich za niewczesny żart.— O! bynajmniej, nie poważyłby się maluczki kronikarz „Tygodnika Lwowskiego" czynić takich porównań, gdyby nie miał za sobą powag literackich XIX. wieku, w rzędzie których L. D. bezsprzecznie wyrobił sobie już niepoślednie stanowisko. Tak jest — przytoczyłem tu tylko słowa nieśmiertelnego hrabiego Benjaminka, który mówiąc nawiasem, spróbowawszy chleba nie z jednego pieca i nie przy jednem „Ognisku" grzejąc ręce, pozazdrościł wreszcie sławy naiwnemu kwadracikowi „Dziennika Poznańskiego" i pisząc dziś umiejętno- arty- humo- bombastycznie - klerykalną kronikę lwowską pod tytułem: N i e c o o L w o w i e czyli N i c o L w o w i e, przeświadcza nas, że i zapoznane lwowskie N i c, uwiecznić się kiedyś może w przestworach „Czasu."

— Zwykle powiadają, że nie ma co pisać o tobie Lwowie, zwłaszcza w obecnej chwili powszechnego rozwodnienia. Albożto prawda?

Zmienna pogoda nietylko nam mizernym śmiertelnikom nalała wody za kołnierz, ale i naszych *patres patriae* zanurzyła po same uszy. Tak, tak Mości Panowie i piękne panie, nalało im się w uszy tyle a tyle słów prawdy, i nieprawdy, że gdybyśmy nie byli od kilku miesięcy przeświadczeni, że nasi ojcowie umieją wybornie p ł y w a ć, mniemaćby należało, że teraz dopiero musi się na nich sprawdzić owo stare przysłowie, że nikt się nie nauczy pływać, dopóki mu się w uszy nie naleje.

— Tam do kata — przysłowiem chciałem się salwować, a zapomniałem, że z przysłowiami niebezpiecznie igrać. — Kij powiadają, ma dwa końce, a przysłowie czasem tyle znaczeń ile się komu podoba, jeżeli zaś wątpicie o tem poważni czytelnicy, to weźcie do ręki wszystkie dzienniki i gazety lwowskie z bieżącego tygodnia, a ręczę wam, że w którémś tam numerze jakiejś tam gazety znajdziecie potwierdzenie słów moich, i więcej już nie będziecie się dziwić obawom waszego sługi.

— Krasickiemu kiedyś tam w przystępie lepszego nieco humoru jak u autora N i e c o o L w o w i e, podobało się powiedzieć: „A za piaskiem lasek, a za laskiem piasek, a o R y c z y w o l e z a m i l c z e ć w o l ę." Od tego czasu wiele a wiele wody upłynęło w Wiśle, więcej jeszcze nieprzyjemnej woni wydała nasza rodzima Pełtew, a nie przyszło nigdy poczciwemu ludkowi posługującemu się słowy Krasickiego, ażeby w tych słowach ulubionego naszego poety mieściła się obelga — powtarzam obelga, którą kiedyś m y o p o z y c j a — użyje przeciw ojcom narodu... przeciw delegacji.

— A przecież tak jest niestety! A przecież tak się stało o zgrozo!

— Ta niepoprawna grzesznica niepomna, że nie wszyscy redaktorowie uczyli się za młodu polskiej geografji i że nie we wszystkich dziełach traktujących o utylitaryzmie jest wzmianka o miasteczku Ryczywole, poważyła się porównać delegacją z wołem, który ryczy. Tak nazwała ją: ryczy - wołem!

> No moi Panowie, gdy mowa o wojnie,
> A p r o p o s „n a p a d u" i ja coś opowiem,
> I jam to za młodu nie siedział spokojnie,
> Z innemi siłami i z innem to zdrowiem.

Służyło się niegdyś ojczyźnie?... jak kto chce: wojskowo — raz gębą — znów głową... A więc a p r o p o s młodej opozycji i jej pochodzenia, w nowożytnych aktach nadpełtewskiego grodu wynalazłem następujący dokument, którego treścią w wierzytelnym odpisie udzieloną mi, chętnie pospieszam podzielić się z mojemi czytelnikami. Osnowa jego następująca:

Działo się roku pańskiego 1867 dnia 29. Listopada o godzinie 2ej z południa: stawił się Wny N. N. i przedstawił nam dziecię płci n i j a k i e j, zrodzone z prawej jego małżonki JMci pani N. N. z domu N. N. Dziecięciu temu na chrzcie nadano imię o p o z y c j a, a rodzicami jego chrzestnemi byli: Jego Dostojeństwo prezydent Rzeczypospolitej babińskiej P s z o n k a i Jejmość królowa wdowa — M y o p o z y c j a.

Akt powyższy z przepisanemi prawem formalnościami do ksiąg parafji K. Pillera zaniesiony, pieczęcią urzędową i podpisami ojca i rodziców chrzestnych zaopatrzony, w wierzytelnym odpisie udziela się kronikarzowi „Tygodnika lwowskiego" i służyć będzie ku wiecznej rozrywce jego czytelników

Dan etc. etc.

(M. P.) proboszcz parafji Pillerowskiej ritus drukalis.
podpisano: *Noworoczny abonament.*

Ha! to opozycja, jej wszystko wolno; płodzić, a nawet trzymać do chrztu dzieci płci nijakiej, ale jakikolwiek jej um i potęga, ręczę, iż na tak stary koncept jak pan K... dotąd nie wpadła, że tak dzielnie swej opozycji, jak ten przeciw zimie i wszystkim handlarzom drzewa przeprowadzić nie potrafiła. — Tak, nie potrafiła, bo zapomniała że wszystko idzie *beim alten*, gdy pan K... pomny starych prawideł dokonał swego i nie tylko nie dozwolił zimie zamrozić siebie, ale handlarzom drzewa i właścicielom lasów dowiódł, że na nim majątków nie zrobią i swych fortun nie podreperują.

Ciekawiście zapewne panowie opozycjoniści i nie opozycjoniści, jak p. K. przeprowadza swój program autonomiczny — i was widzę zbiera ochota posłuchać, kochane czytelniczki, a więc posłuchajcie:

Pan K., stary biurokrata, rokrocznie gdy przyprą mrozy, kupuje ćwierć sąga drzewa i ustawia go w jednym kącie swojego pokoju.

W pokoju pana K. jest cztery kąty i piec piąty, który atoli podług programu gospodarza odgrywa rolę mniejszości w wiedeńskiej Radzie państwa, t. j. że otrzymuje od pana K. obietnicę, iż dla ogrzania swojego pana dostanie do spożycia ów ćwierć sążeń drzewa, wówczas gdy pan K. przemyśliwa, jak siebie zagrzać bez niego, a stary ćwierćsążeń zakonserwować, dopóki nie pękną lody, a słońce majowe swojem dobroczynnem ciepłem nie ogrzeje naszego zręcznego polityka. Otóż pan K. gdy mu rączki zajęte ciągłą biurową pracą dobrze skostnieją, przenosi drzewo z jednego kąta w drugi i taką robotą rozgrzany, śmieje się z naiwności pieca, którego drzwiczki na ścieżaj stojąc otworem, połykają tylko parę, napełniającą pokój spotniałego dyplomaty. Przychodzi wiosna, ćwierćsążeń, który codzień peregrynował na grzbiecie pana K., rokując sobie świetne nadzieje, że z trzaskiem i hukiem roznieci kiedyś płomień, którym ogrzeje chłodną atmosferę pokoju pana K., jak nie pyszny idzie napowrót w ręce handlarzy, a pan K. wychodzi zwycięzko, zabezpieczywszy bowiem całość swej kieszeni, wygrał kampanię z zimą, było mu ciepło i wyprowadził w pole piec i drzewo. — Oto mi opozycja. — Ha! to mi opozycja, jej wszystko wolno, ale nam?... nie wolno przywiązywać jakiejkolwiek aluzji politycznej do pieca, do pana K., półsążka drzewa i czterech kątów, które zresztą znaleźć można w każdym symetrycznym pokoju.

C. G.

MODY NA MIESIĄC GRUDZIEŃ.



Strój męzki Czamara zimowa koloru czarnego, w około obszyta taśmą, futrem podbita, kołnierz wyłożony, pętlice z guzikami szklannemi lub kościannemi. Spodnie szerokie z szarego kortu, buty wysokie. — **Strój damski.** Gorset z paskiem i długą wstęgą, suknia z materji jedwabnej lub wełnianej, kłosami narzucanej. — **Strój pensjonarek.** Szeroki kołnierz z naśladowanego futra, paletot z materji wełnianej koloru brunatnego, buciki wysokie, fałdowane.

PETYCJA

(sub strictissimo secreto).

Zważywszy, że wybrany na marszałka w powiecie N — Są . . ckim, został wprawdzie obranym przeważną większością głosów, ale głosami samego tylko motłochu, t. j. mieszczuchów *) i chłopów wbrew woli i postanowieniu naszemu;

zważywszy, że jest on przeciwnikiem kastowości, uważając szczególnie istnienie kasty naszej, pomimo że jest ona odwiecznie tradycyjną, zwyczajem i historycznością uświęconą — jako niezgodne z tegoczesnemi potrzebami spółczesnemi i z przybyszami potwornemi, zwanemi „Postęp“ i „Równouprawnienie:“

zważywszy dalej, że zaleca on zgodę, łączenie się i bratnie postępowanie między wszystkiemi stanami i między ludźmi wszelkiej pracy i wszelkiego zatrudnienia i wywodzi on z takiego postępowania wzrost pomyślności powszechnej, a nawet wywodzi z tego wzmożenie potęgi państwowej, na co się żadną miarą i pod żadnym warunkiem zgodzić nie możemy — bo jużcić to jest jasnem jak słońce, że postępowanie podobne i pobratanie się podobne z motłochem, groziłoby upadkiem, a przynajmniej groziłoby wyszczerbieniem naszych, wiekami zdobytych przywilejów, godności, tytułów, honorów i wyłącznych praw stanu naszego, kierowania sprawami krajowemi, społecznemi i panowania nad motłochem źle urodzonym, i dla tego otwarcie oświadczyć musimy, że nam chodzi jedynie o pomyślność stanu naszego, że inne poślednie stany i klasy ludności — uniżenie, uległe służyć nam i postanowieniem, rozkazom naszym, ślepo, bez najmniejszego namysłu i roztrząsania posłusznemi być winny, że nareszcie przy prawach i nabytkach naszych niewzruszenie stać będziemy i ani na krok od nich nie odstąpimy, nie zważając bynajmniej na to, że obałamucona część jedna, do stanu naszego należąca, obóz nasz już opuściła, a sądząc z usposobienia i objawów, jeszcze większej dezercji spodziewać się nam wypada, jak to najświeższy fakt okazał, że przeważnie większa część ze stanu naszego — podpisu petycji niniejszej odmówiła:

zważywszy nakoniec całe jego usposobienie, postępowanie, zasady i przywary osobiste, które w osobnym załączniku *sub* ./. pismem kluczowem dla tego przedstawiamy i opisujemy, by przypadkiem jakim d o n o s nasz na jaw nie wyszedł, w którym to razie motłoch niezdolny do pojmowania polityki wyższej: „ż e w s z e l k i e ś r o d k i d o d o p i ę c i a z a ł o ż o n e g o c e l u s ą d o z w o l o n e — s ą g o d z i w e“ — nie zaniedbałby nas okrzyczeć jako denuncjantów i oszczerców;

zważywszy więc to wszystko, stanowczo żądamy i prosimy, aby ten wyrodek, ten istny Robespierre, na marszałka Rady powiatowej zatwierdzonym nie został, inaczej przygotowani jesteśmy zwrócić się tam, gdzie się jedno wiadome stronnictwo czeskie zwróciło.

Działo się we Wrześniu roku pańskiego 1867.

Marceli de Wichrzycielski m. p.
mistrz stanu uprzywilejowanego w ziemi Są . . ckiej.

Jan de Kochanczek m. p.
zasłużony propagandą przeciw reklamacjom katastralnym.

Apolinary de Błaznowski m. p.

dalej następują podpisy kuzynków, powinowatych kumów, swatów, i ze starych świetnych rodzin u nas nie wygasłych: *Narzędziowskich, Bezmyślców, Ogonowiczów, Owcowiczów, Zależnickich, Półgłowackich* i t. d. i t. d.

*) *Vulgo* kołtunów, mówiąc słowy radnego lwowskiego z wroniej góry.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.